



W O R Z E Ł B I A Ł Y

Polska walcząca na Wschodzie

ROK II N° 30 (34)

NIEDZIELA, 8 LISTOPADA 1918 R.

CENA 20 FLS.

11 LISTOPADA

Corocznie na przestrzeni dwudziestu lat, stanowiących pokojowe intermezzo między pierwszą a drugą wojną światową, w smutnym miesiącu listopada, narody Europy obchodziły radośnie rocznicę kapitulacji imperium germańskiego. Dźwięki trąbek głoszących 11-go listopada 1918 r. zakończenie działań wojennych, przebijając się przez mgły i deszcze jesienne, niesły podbitym narodom wieść, że godzina wolności wybiła. Oswobodzona zostaje Belgia; wyzwolone z pęt długowiekowej niewoli narody południowych Słowian łączą się w jedno państwo; powstaje do niezależnego bytu Czechosłowacja. Najdonioślejszym jednak wynikiem załamania się Niemiec, nie tylko z naszego, polskiego punktu widzenia, było stworzenie warunków umożliwiających odzyskanie niepodległości przez Polskę.

Pozornie Niemcy, pod wpływem biegu wypadków, już uprzednio przyznali Polakom prawo do stworzenia własnego państwa. Manifest dwóch cesarzy, niemieckiego Wilhelma i austriackiego Franciszka Józefa, z 5 listopada 1918 r. głosił, że z ziem polskich odebranych Rosji utworzone będzie „niepodległe” Królestwo Polskie. W 1917 r. ustanowiona zostaje Rada Regencyjna, która sprawuje prowizoryczną władzę państwową w tym Królestwie. Utworzony nawet zostaje załęczek „ojcska polskiego” t. zw. „Polnische Wehrmacht”.

Ale gra Niemiec i ich sprzymierzeńców była oczywiście fałszywa. Nowe państwo obejmujące tylko drobną część terenów zamieszkiwanych przez ludność polską miało być czymś w rodzaju dzisiejszej Chorwacji czy Słowacji. Chytrym okupantom chodziło tylko o to, by z Polski wydestać żołnierzy, niezbędnych do uzupełnienia przereczonych długoczną wojną szeregów niemieckich. Ale naród polski i ci co stali na jego czele przejrżeli podstępą grę niemiecką. Wynikiem powtarzających się ostrych konfliktów były częste dymisje rządów Królestwa Polskiego nie chcących brać na siebie roli, jakbyśmy dziś powiedzieli Quislingów, rozwiązanie legionów, a wreszcie zbrojny bunt brygady Hallera i bitwa pod Kaniowem.

Powrót Piłsudskiego z więzienia magdeburckiego i zawieszenie broni na froncie zachodnim stały się hasłem do wypędzenia Niemców z Warszawy i całego b. Królestwa Kongresowego (kilka dni przed tym wyswo. bodziła się Małopolska zachodnia).— Piłsudski przejmując z rąk Rady Regencyjnej naczelną władzę państwową i powołując pierwszy, niezależny od okupantów, rząd polski. Niepodległe Państwo Polskie staje się rzeczywistością.

W dniu 11-ym listopada 1918 r. kapitulowało stojące przed widmem

najstraszliwszej katastrofy państwo, które jeszcze w styczniu tego roku w trakcie brzeskim dyktował bezlitośnie ciężkie warunki pokoju pobitej Rosji. Uciekał do Holandii cesarz Wilhelm, który na początku kampanii zapowiedział swym żołnierzom, że wrócą zwycięsko do domu

zanim liście spadną z drzew; w marlutkiej, zapadłej wioszcynie szwajcarskiej szukał schronienia jego wódz gen. Ludendorff, który jeszcze w czerwcu obiecywał, że wygłodzi Anglię, groził Ameryce wytopieniem transportów płynących do Europy a przed oczami zasłuchanych w szum

zwycięskich cesarskich sztandarów Niemców, rozwijał wizję zdobycia Paryża, Londynu, Bagdadu i Suez.

W chwili gdy w wagonie marsz. Focha w Compiègne, przedstawiciele pobitych Niemiec podpisywali akt kapitulacyjny, ulicami Londynu i Paryża, Rzymu i Belgradu, Warszawy i Pragi przeciągały radosne tłumy, wierzące, że zmurzą zabobrozości germańskiej usunięto na zawsze, że prawo narodów do samostanowienia o sobie stało się nienaruszalnym dogmatem.

Niemcy, gdzie miejsce Kaizera zajął socjalistyczny prezydent Ebert, a Ludendorffa zastąpił „demokratyczny” generał Groener, również zaczęły głosić wówczas hasła wolności i braterstwa ludów, odrzekając się od wszelkich zaborczych tendencji i potępiając swą junkiersko-militarystyczną przeszłość.

A jednak dwadzieścia lat wystarczyło, by to wszystko, czego 11 listopada 1918 r. był podstawa, runęło w gruzy. Znow świat stanął w płomieniach, znow bronić muszą narody bardziej niż kiedykolwiek zagrożonego prawa do istnienia, do wolności.

Bo w założeniu samym był błąd. Zamiast wojnę prowaźić do końca, do zupełnego militarnego zniszczenia Niemiec, zamiast pokój dyktować w Berlinie — państwa koalicji dały się uwieść pozorom „nawrócenia grzesznika”. Uwierzyły, że ze zmianą reżimu zmieniają się cechy narodu, że wilk przybrawszy skórę baranka pozbędzie się charakteru drapieżcy.

A potem pomimo nawoływań i wskazań jednostek, które jasno widziały niebezpieczeństwo, jak Foch, Churchill, Sikorski, krok za krokiem ustępowano Niemcom w wykonywaniu i tak stosunkowo niezbyt ciężkich warunków pokoju, aż doprowadzono do Monachium i do nowego, tym razem zwycięskiego dla Niemiec, Compiègne.

Dziś, gdy pomimo wszelkich sukcesów niemieckich, nie wydaje się już odległą chwilą, w której Niemcy, jak 11 listopada 1918 r. zmuszone będą zwrócić się do sprzymierzonych z prośbą o pokój, należy mieć w pamięci tę prawdę, że Niemcy — krzyżackie czy pruskie, cesarskie czy republikańskie, hitlerowskie czy demokratyczne — są zawsze jedne i niezmiennie i, że nie będzie na świecie trwałego pokoju i prawdziwej wolności bez siwowania warunków, któreby uniemożliwiały im ponowne rozniesienie pożogi światowej.

A wśród tych warunków pierwszym jest: wolna i potężna Polska, w granicach gwarantujących jej odpowiednio możliwości rozwoju i posiadająca siłę niezbędną dla zapewnienia sobie stałego bezpieczeństwa.

Zbigniew Rączyński



A czemżeś ty dla mnie wiosko,
Czemże ja tobie —
Ze tak lecę do cię z troską
O każdej dobie
Myślami,
O każdej dobie!

Ze tak lecę a spoglądam
Ku czarnej roli,
Ze cię pragnę a pożądam
Jak własnej roli,
Zbawienia,
Jak własnej roli!

A czemżeście dla mnie, chaty,
Wy, progi niskie,
Ze mi wasze znoje, straty
Tak sercu bliskie,
Siostrzane,
Tak sercu bliskie?

Czemże ja wam zaślujęm,
Poła a niwy,
Ze mi przy was życie miem,

Dzionek szczęśliwy,
Złocony,
Dzionek szczęśliwy?
Co wy macie do mnie, drzewa,
Wy, polne grusze,
Ze gdy wietrzyk wami śpiewa,
Ja łzami proszę
By rosą,
Ja łzami proszę?

A czyście mi co zadaly,
Chaty a wioski?
A toż wrócić do was cały,
U białej brzoźki
Zalegnę,
U białej brzoźki!

Toć nie zginę na tym świecie,
Powrócę cały,
Toć mnie prochem znow weźmiecie,
Jakęście dały,
Zrodziły,
Na życie dały!

Kazimierz Laskowski (El)

CZOŁEM KARPACKA!

Dowódca poznaje nowych żołnierzy

Na obszernej piaszczystej równinie, zagubionej „gdzieś w pustyni”, Dca Armii Polskiej na Wschodzie gen. Anders dokonał 21. X. pierwszego przeglądu oddziałów D. S. K. w jej nowym miejscu postoju.

U drogi, wiodącej na teren obozów Dywizji, gen. Andersa, przybywającego w towarzystwie Szefa Sztabu gen. Rakowskiego, powitał Dca D. S. K. gen. Kopański.

W trzech wielkich kolumnach, stanęły w zwartym szyku formacje D. S. K. Wojsko szprezentowało broń. Gen. Anders przy dźwiękach hymnu narodowego zbliżył się do sztandaru dywizji. Rozpoczęła się przegląd.

Gen. Anders powoli przechodzi przed frontem ustawionych kompanii, badawczo patrząc w oczy żołnierza.

Postawa wojska wzbudza w Dowódcy widoczne zadowolenie.

Po inspekcji, trwającej około 40 minut gen. Anders salutował oddziały, witając je słowami: Czolem Karpacka; następnie podchodzi do mikrofonu i wygłasza przemówienie; słowa jego roznośza megafonami rozstawione na miejscu zgromadzenia żołnierzy.

Przemówienie rozpoczął generał od stwierdzenia, że to pierwsze spotkanie z D. S. K. uważa za wydarzenie doniosłe. „Nie dźwicie się — mówi generał — że tak badawczo każdemu z was patrzyłem w oczy.

Jeżeli sobie jednak przypomnę te czasy, kiedy wielu z was było razem ze mną w bojach o Polskę, gdy sobie przypomnę ile trudu, łez i krwi przez ten czas upłynęło to, powtarzam, nie dźwicie się, że się tak badawczo przeglądam i proszę was bardzo, byście zapamiętali to co mówię, bo chwila ta, przynajmniej dla mnie, jest niesłychanie ważna”. — Następnie generał przypomniał rok 1939, wrześniu, który pokazał światu bohaterstwo polskiego żołnierza. „Jakkolwiek wówczas prowadziliśmy walkę bez nadzieję, nie było wśród żołnierzy narzekania, bo wszyscy wiedzieliśmy, że bijemy się o rzecz najświętszą dla nas — o Honor Polski”.

Dla kontrastu nakreślił generał obraz krótkiego oporu Francji, haniebnej kapitulacji Petaina; następnie przypomniał kolejne etapy organizacji Armii Polskiej na Wschodzie, podkreślając, że w okresie niewoli niewiele zalażano się. „Zawsze wierzyliśmy, że Polska będzie”.

Omawiając sytuację polityczną gen. Anders podkreślił, że upaść Niemiec wyczuwa się już wyraźnie. Niemcy są jeszcze silnie militarne, ale moralnie zalamują się.

„Czy na przyszły rok ujrzymy Polskę, nie wiem — powiedział generał — ale napewno będziemy Jej znacznie bliżej”.

Następnie gen. Anders w gorących słowach podkreślił wdzięczność żołnierzy, którzy przyszli z Rosji — dla Brygady Karpackiej i gen. Kopański o co za utrzymanie honoru Polski na tak wysokim poziomie i zjednanie szacunku całego świata.

„Nie wątpię, że my swój obowiązek żołnierski spełnimy. Dlatego właśnie tak patrzyłem w wasze oczy, bo przecie nam szafować waszą krwią. Mamy razem być sprzeczniemi na życie i śmierć, aż do uwolnienia naszego kraju. Dlatego musimy sobie zdać sprawę, co to są rzeczy małe, a co to są rzeczy ważne. Ważne jest to, że dziś przedstawiamy nie tylko armię, ale że na nas patrzają dziś ci, którzy w przy-

szłości będą decydowali o granicach Polski, jak na Polskę. Jak ta Polska pokaże się im, czy to pod względem honoru, czy dyscypliny, organizacji, czy zachowania się — to będzie ważyło. Oni dziś Polski nie znają. Ale to co jest tutaj — to jest rdzeń narodu polskiego i oni o tym wiedzą i dlatego według waszego postępowania będą nas sądzić”.

„Każdy z nas nosi w sobie kawałek Polski. Każdy z was jest małą częścią naszej Armii, która jest znowu częścią wielkiej siły zbrojnej, aż do armii krajowej włącznie. Wicieci dobrze, jak szalone straty ponosi Polska codziennie. Wicieci, że nie ma rodziny, która by się mogła doliczyć swoich najbliższych. Dlatego niedogodności życiowe, które mamy i mieć będziemy, są małe wobec tego olbrzymiego zadania, o którym wam mówię. Tam, w kraju, wszyscy z utęsknieniem napewno myślą o każdym z was, z największą miłością, z największą troską. Dziś nasze myśli biegają ku nim po prawie tysiące kilometrów i kordonów bitewnych. Każdy z was dobrze czuje ten nieuchwytny kontakt z tymi stamtąd, bo jesteśmy jednej krwi. A już pomiędzy nami stamtąd przybyli — a wami, którzyście po przez różne granice z Polski, przybyli — różnie nie ma żadnych. My powinniśmy być jedną wielką gromadą, która w sobie

nosi nie tylko nadzieję na ostateczne wyswobodzenie Ojczyzny, ale nosi w sobie całą uczciwość Polaka”.

„Wasza dywizja, która zorganizowała się ze starej Brygady Karpackiej i naszych pułków z Rosji, napewno będzie rdzeniem, na którym będzie można polegać. Zapoznacie się z dywizjami z Rosji. Jestem przekonany, że koleżeństwo i braterstwo między wami będą silne”.

„Wicieci dobrze, że nie udało się nam z Rosji wyewakuować wszystkich naszych rodaków. Mogę was jednak zapewnić, że robimy wszystko — Naczelny Wódz, Rząd i Wojsko, żeby im dopomóc. Mamy zapewnienie czynników decydujących, że zrobimy wszystko, ażeby jaknajwięcej ludzi stamtąd wydostać. Pomoc w tej akcji będziemy nieśli i my z naszych skromnych zasobów. Z drugiej strony jestem pewien, że przy poparciu naszych sprzymierzeńców: Anglii i Ameryki pomoc tę osiągniemy”.

„Wierzę święcie, że my do Polski dojdziemy. Droga, po której kroczymy jest najkrótszą drogą do Polski”. Przemówienie swe gen. Anders zakończył okrzykiem na cześć Polski. Następnie do mikrofonu podszedł dowódca D. S. K. mówiąc: „Żołnierze! Dziś oddziały nasze na Wschodzie połączyły się w jedną armię. W tym tak uroczystym dniu młodej Panu

Generałowi w imieniu wszystkich żołnierzy Dywizji Karpackiej, że jesteśmy dumni i szczęśliwi, że będzie On nas w naszej dalszej wędrówce prowadził i da Bóg przez zwycięstwo doprowadzi do Wolnej Polski”.

Po przemówieniach oddziały przegrupowują się do defilady. Dowódca A. P. na Wschodzie, gen. Anders, w otoczeniu generałów Rakowskiego i Kopańskiego pieszo udaje się do oddalonej trybuny, ozdobionej barwami narodowymi. Gen. Anders bacznie obserwuje przemarsz doskonale wyszkolonych wojsk. Na twarzy jego maluje się zadowolenie.

Zmierzch zapadał, gdy defilada dobiegała końca.

Następnego dnia rano gen. Anders dokonał przeglądu oddziałów Brygady Czółgów. Po przeglądzie oddziały uformowały się w czworobok i gen. Anders zwrócił się do żołnierzy w krótkich słowach, witając poszczególne bataliony jako dawną polską husarię, która skrzydła swe oddała lotnikom — sobie zaś pozostawiła pancerze.

Następnie odbył się przemarsz wszystkich oddziałów czółgów przed Dowódcą A. P. Żołnierze pancerni wykazali w tej defiladzie wspaniałą postawę i doskonale wyszkolenie, co stwierdził gen. Anders z żywym zadowoleniem.

Minister Casey odwiedza Armię Polską na Wschodzie

R. G. Casey brytyjski minister dla spraw Środkowego Wschodu jest jednym z najwybitniejszych polityków Zjednoczonego Królestwa.

Minister Casey urodził się w 1890 r. w Melbourne w Australii. Podczas wojny światowej w szereżach wojsk australijskich walczył pod Gallipoli oraz we Francji. Po zakończeniu wojny przez kilka lat był oficerem łącznikowym rządu australijskiego przy brytyjskim ministerstwie spraw zagranicznych.

Wybuch wojny w 1939 roku zastaje go na stanowisku przedstawiciela Australii w Londynie. Rok później jedzie do Stanów Zjednoczonych jako poseł. Na stanowisko ministra dla spraw Środkowego Wschodu powołał Churchill Casey'a w 1941 r. Na tym posterunku min. Casey wykazał wielki talent organizacyjny, jasną ocenę sytuacji, oddając sprawę Sprzymierzonych nieocenione usługi.

Stosunek min. Casey'a do Polaków jest, zgodnie z tradycjami polsko-australijskimi, bardzo serdeczny.

Brytyjski minister dla spraw Środkowego Wschodu Casey, odwiedził w dniu 19. X oddziały Armii Polskiej na Wschodzie. Gościła brytyjskiego powitał na lotnisku Dowódca Armii Polskiej na Wschodzie gen. Anders w otoczeniu wyższych oficerów. Z lotniska min. Casey udał się do m. p. Dowódcztwa, gdzie przy dźwiękach marsza generalnego przeszedł przed frontem kompanii honorowej, a następnie przyjął w towarzystwie gen. Andersa, ks. Biskupa Polowego Gawliny i wyższych oficerów brytyjskich i polskich, defiladę oddziałów.

Po krótkim odpoczynku brytyjski minister odjechał do obozu jednej z dywizji, gdzie doskonała postawa żołnierza wywarła na Nim duże wrażenie.

Min. Casey zwiedził obóz wojskowy oraz wystawę malarską jednego z żołnierzy dywizji. Ekspozycja wystawowa wzbudziła wielkie zainteresowanie zarówno Ministra jak i towarzyszących mu gości brytyjskich. Przedstawiony ministrowi Casey'owi twórca obrazów — ofiarował gościowi brytyjskiemu kilka eksponatów.

W czasie przyjęcia gen. Anders wygłosił krótkie przemówienie, witając serdecznie wśród wojsk polskich na Wschodzie, przedstawiciela Jego Królewskiej Mości, Króla Jerzego VI. Gen. Anders podkreślił, że gdy — po podstępny napadzie niemieckim na Polskę — Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom, wśród Polaków zapanowała niezłomna wiara, że wojnę tę wygramy. „Dziś przybyliśmy tu — mówi dalej gen. Anders — aby otrzymać broń. Chcemy zapewnić Pana Ministra, że w tej wojnie o największą świętość dla nas Polaków — o Niepodległość i byt Narodu — każdy z nas da swą krew i włoży swój największy wysiłek”.

Na zakończenie gen. Anders wniósł toast na cześć J. K. M. Króla Jerzego VI, oraz na cześć min. Casey'a i jego ojczyzny — Australii.

Min. Casey podziękował za serdeczne przyjęcie zgłotowane mu, jako przedstawicielowi rządu Brytyjskiego i stwierdził, że to co zobaczył tu, wśród wojsk polskich, sprawiło na nim głębokie wrażenie.

„...świat wie o bitwach stoczonych

przez Polaków — oświadczył m. in. minister. Byłiście pierwszą ofiarą napastników. Naród Brytyjski pośpieszył wam z pomocą i walczyć będzie razem z wami aż do końca, który jest dziś bliżej niż wydawało mi się miesiąc temu.

Rozumiem waszą tęsknotę do broni. Zapewniam Was, że ta broń i wyposażenie nadejdą tak szybko, jak to jest w obecnych warunkach możliwe. W krótkim czasie wszystkie wasi żołnierze będą mieli karabiny, karabiny maszynowe, działa, czołgi i samochody, słowem: cały aparat wojenny, który jest konieczny, by odplacić nieprzyjacielowi.

Nie mam wątpliwości co do tego, jak wasi żołnierze zachowają się, gdy nadejdzie czas. Spetnią oni swój obowiązek żołnierski, a słońce znów zaświeci nad szczęśliwymi ogniskami rodzinnymi w Polsce, Anglii i we wszystkich krajach, które dziś walczą o Wolność.

Chciałbym jeszcze powiedzieć żołnierzom polskim, że Anglia ma najgłębszy szacunek dla waszego Wodza, gen. Andersa. Jest on godnym dowódcą godnych wojsk. Zapewniam was, że pójdziemy po zwycięstwo razem — Anglię. Polacy i wszystkie zjednoczone narody”.

Podczas śniadania przygrywała orkiestra wojskowa, a zespół teatralny dywizji wystąpił z produkcjami tanecznymi i muzyczno-wokalnymi.

Przyjęcie w serdecznym nastroju przeciągnęło się do późnych godzin popołudniowych.

Zegnamy owocnie przez żołnierzy, min. Casey w towarzystwie gen. Andersa i otoczenia opuścił miejsce postoju dywizji.

WSKAZANIA CHWILI

R A Z E M

Spotkaliśmy się znowu po 3-letniej rozłące. Szliśmy różnymi drogami. Jedni przez Rumunię, Węgry, Syrię, Egipt, Tobruk i Ghazalę, drudzy przez Kofas, Ural, Syberię, Kazachstan. Tu, w miejscu, gdzie znajdowała się biblijna kolebka ludzkości, zetknęliśmy się znowu, by dalej pójść razem.

A choć różne pozornie, to przecież jednakowe były szlaki, którymi kroczyliśmy i jeden jest cel, do którego dążymy — Polska.

Po trzech latach najdłuższych i najcięższych znów razem. Ojciec, który gdzieś nad Pieczorą dwie zimy przesiedział, seiska syna, który pod Tobrukiem „Krzyż Walecznych” zdobył, brat odnajduje brata, padają sobie w ramiona przyjaciele z ławy szkolnej.

Czy nie ma jednak czegoś nieuchwytnego, co może zmącić te pierwsze chwile radosnego powitania? W niekończących się rozmowach — a mamy jedni i drudzy do opowiadania tak wiele — przebijają czasem niepotrzebne akcenty wywyższania własnego i niedoceniania innych.

Może zbyt często mówi się „my” i „wy”, może za dużo podkreśla się własną, niewątpliwą nieraz zasługę, zapominając, że i drudzy mogą się niejednym wylegitymować. Jest to zresztą bardzo ludzkie i może do pewnego stopnia nieuniknione i nie trzeba się temu zjawisku ani dziwić, ani mu zbyt wielkiej wagi przypisywać. Ale my w obecnych warunkach nawet na takie, choćby nieznaczne różnice pozwolić sobie nie możemy. Zbyt smutną pamięć pozostawiły po sobie „zasługomania”, samochwalstwo i elitaryzm: zbyt tragiczne skutki pociągnął za sobą rozdźwięk w narodzie, wywołany ongiś jednostronną sublimacją własnych wyczynów.

Nie możemy popadać nawet w ślady dawnych błędów. Nie wolno nam spierać się o to, czy krew, która

wsiąkła w piaski libijskie, cenniejsza jest od kości, które na zawsze zostały w bagnach północnej tajgi, czy wytrwałość i niezłomność ducha wykazane w najcięższych warunkach równoważyć mogą męstwo na placu boju.

Bo wszystko, cośmy zdziałali, idzie do wielkiej skarbnicy ofiary, za cenę której mamy odbudować nową Polskę.

Zwracając uwagę na konieczność zatarcia drobnych nawet różnic wśród żołnierzy, nie możemy nie podkreślić jaskrawych rozdźwięków, jakie się dają zauważyć wśród tej części społeczeństwa polskiego, która nie wchodzi w skład zbrojnych sił narodu, znalazła się na obczyźnie.

Dopóki przebywaliśmy w Rosji, odgłosy swarów i waśni partyjnych

dzielących naszą emigrację, słabym tylko dochodziły nas echem. Nie poświęcaliśmy im więc szczególniejszej uwagi. Dziś widzimy z niepokojem, że stosunki panujące wśród Polaków nie są takie, jakich wymaga powaga sytuacji.

Rozmaici działacze społeczni, pragnący łowić ryby w mętnej wodzie niestabilizowanej sytuacji, pogłębiają i tak już daleko posuniętą wśród naszego społeczeństwa dezorientację.

W chwili, gdy przeżywamy okres nie tylko najstraszniejszej z wojen ale i najdonioślejszej z rewolucji, która wyłonić ma świat nowy, lepszy — u nas jakby za dawnych czasów tworzą się jakieś partie i koterie, opracowuje się pseudo programy, które bieg wypadków nieuchronnie obalić musi.

Znów za szyldem „Polska” pragnie się ukryć drobne interesy poszczególnych ludzi względnie grupek, których jedynym celem jest jaknajdalej od huku działań tam gdzie nawet bomby nie sięgają, na wygodnych posadach — doczekać się Polski, którą za nich inni wywalczą mają.

Tak być nie może. Nie wolno w tej chwili najwyższej potrzeby rozproszkować sił na bezcelowe spory wewnętrzne, nie wolno dla zadowolenia interesów jednostek marnować tak cennej energii narodowej.

Hasłem wtycznym, obowiązującym wszystkich, musi być zjednoczenie. Zjednoczenie wszystkich zdrowych sił Narodu dla jednego wielkiego celu: dobro Rzeczypospolitej najwyższym prawem — Salus Reipublicae Suprema Lex.

NA PERSKIM JARMARKU

Pod sklepianiami Bazaru wieloraki towar garbi się w bezładnej obfitości, albo pnie się do góry, niedosiegalny leniwą ręką przekupnia. Polska mowa toczy się zrazu okrągło i dźwięcznie. Trzeba jednak przyjść z pomocą wysiłkowi sprzedawcy, który ciągle podnosi głowę przecząco. Skapiąc słów, kupujący porozumiewa się już tylko gestami i rachunkiem na palcach. Kupiec nie przestaje się dziwić chłonności „polskiego rynku”. Wszystko kupiliby ci Polacy: od igły do wielbłąda

Nie ma to oczywiście nie wspólnego z przypowieścią o wielbłądzie i uchu igielnym, ale niewątpliwie dzieją się tu z nami jakieś cuda. Bo przecież naprawdę kupujemy, naprawdę jesteśmy — klientelą.

Oczy ubogich są zachłanne. Jarzą się przy witrzynach jaśniej niż wielokaratowe brylanty i stają się bardziej niebieskie od turkusów. A na

wet żrenice zmętniały z żalu i przez to podobne do agatów, widzą — suknie szyle najnowszą europejską modą, garnitury, futra, jedwabie i welny.

Wszystko wydaje się potrzebne, niechby dlatego, żeby nawiązać znowu do przeszłości. Więc i sklep obszerny, zasobny, i światło polityru na ladzie. Stojący przed ladą zwija i gładzi materiał. I nagle dostrzega na brzętku firmę: Jankowski Namysł, walcząca z sobą a wreszcie wyrzeczenie — sa ceną, którą płaci za radosną dumę, że to przecież nasze, że ta walna jest z Kraju. Kupiec, uśmiechając się pobłaźliwie, nie może być ustepliwy dla wzruszeń tułacza. Poczem dolewając oliwy do ognia, wyjaśnia, że cena wysoka, bo towar pierwszorzędny, zagraniczny.

Zagraniczny! Oczy osłepłe już na to, co bliżkie, dosięgają miśnię odległych stąd o wiele tysięcy kilometrów. Pragnienia ubogich stają się nienasycone. Pochłaniają czas i przestrzeń. To nie dziecko, ale starzec, stojący przed witrzyną z dywanami, marzy podług wschodniej bajki: — Czy jest tu taki czarodziejski dywan, który zaniósłby mnie do Kraju?

Natomiast dziecko prosi: — Mamo, kup mi czapkę wojskową z orzełkiem. Kup mi, kup! — Matka mówi surowo: — Nie masz bucików, muszę ci kupić buciki. — Spór dziecka z matką toczy się długo po długiej ulicy. A matka ma właściwie inne, skryte zamiary. Trochę wstydzi się tego i przed sobą i przed dzieckiem. Omija sklep z obuwiem i wstępuje do jubilera. Te przedmioty ze srebra cyzelowanego w nieodcyfrowaną arabeskę, z której z trudem wyluskasz kozicę, flaminga, rajskiego ptaka czy kolibra — przeczyna w duchu na pamiątki dla bliższych, którzy są daleko. A papierosnicę?... Wpatruje się uporeczywie w wypolerowane, złoczone wnętrza szkatułki, jak w różką w szklanej kuli, dostrzega twarz o rysach zamglonych i jakby już nieistotnych. Tak właśnie jawią się twarze zaginionych, których wyobraźnia nie potrafi inaczej dosięgnąć, jak przez łyż. Papierosnica wraca pod szybę gablotki, ale łyza w jej wnętrzu nie skrzępie w perłę. Za dużo byłoby perły na świecie.

Perły są tu zresztą niedrogie. Z Zatoki Perskiej wiozą je przez

пустynię karawany wielbłądów. Ale siła kupna na perły maleje. Potrzebniejsze są buciki dla dzieci, swetry i... lekarstwa.

Toteż kupujący są jednocześnie sprzedawcami. Futra od Chowańczaka i Apfelbauma pachną naftaliną w sklepach komisowych. Herb na sygnecie współzawodniczy z werselem Koranu na krwawniku. Czarna emalia na medalionie, z którego usunęto pukiel włosów albo miniaturę, czerni się za witrzyną żalobą narodową babki. Wyprzedajemy się z pamiątką po sześćdziesiątym trzecim i z ssecyjnym w listki powyginywanej biżuterii i z brylantów w koronkowej oprawie z platyny. Odmienne fasony pierścionków określają przemiany losów. A tutaj dłoń kupca zatula je, jak grób.

Ale zanim skonają w obecnej recie, Pers, Turek, Gruzin czy Ormianin, patrząc na te cacka przez powiększające szkło, pyta: — A „Fragetów” nie macie na sprzedaż? — Wolałby nakrycia stołowe warszawskiej firmy „Fraget”. Mają tu zbyt, są poszukiwane. I znowu działa zastrzyk dumy. Pozbywszy się rodzinnych pamiątek, tułacz wychodzi z magazynu niemal podniesiony na duchu. Że zwłaszcza o te „Fragety”? Ale zaraz też i tamto: dom, pokój jadalny, szuflada w kredensie. Jeden nóż z tuzina gdzieś kiedyś się zagubił. Jak to mogło się stać, że się zagubił? Pytanie, nieważne już dziś, powraca z nekającym natręctwem. O ten jeden fragetowski nóż, kiedy cały świat z sobą na noże. Kiedy tysiące noży w sercach ludzkich.

Nie można jednak ciągle dźwigać ogromu straszliwej rzeczywistości. I nieszczęścia opadają wreszcie jak jesienne liście. Ulicami Teheranu chodzą tułacze obarczeni dniem powszednim niby małym tobołkiem, który da się unieść jedną ręką. Są wszyscy jak żołnierze przygotowani do dalekiego marszu. Matka tłumaczy dziecku: — Muszę ci kupić mome buciki, bo do Polski jeszcze daleka droga. A dziecko: — Chcę furazerki z orzełkiem.

Spirając się, myślą o tem samem. Kupując, sprzedając, wędrując od sklepu do sklepu, mierzmy czas i przestrzeń naszej wędrowki.

Hermiina Naglerowa.



Do Anglii, po długiej podróży morskiej przybyły transporty polskich lotników i marynarzy z Rosji. Na zdjęciu widzimy chwilę przybycia okrętu do portu.

Polscy lotnicy i marynarze z Anglii zgottowali swym nowym kolegom serdeczne powitanie w porcie.

ASZCHABAD — MESZCHED

DODGE' M PRZEZ PUSTYNIĘ I GÓRY

Bazą w Iranie, z której się wysła dzieci do Indji, jest Meszched, „druga stolica Iranu”, ze sławnym meczetem ósmego proroka Onmana Reza, położony o 180 km. od Afganistanu. Dzieci z Rosji są przetrzucane autami z Aszchabadu do Meszchedu. Z partią 60-ciu dzieci przejechałem tę drogę przez Gałdan, grzbiet górski, granicę sowiecko-irańską, Badżyżiran i Kuczana.

Dobę wcześniej, wczesnym rankiem, szedłem ulicami Aszchabadu ze stacji do „Domu Sowietów”, hotelu — obok pomników Stalina i Lenina

Nagle wyrosły przede mną, za gmachem hotelu, wielkie, młilezące góry. Różowe o falistych, miękkich kształtach, zupełnie nagie. Wyrastały nagle, jak ściana z beżynnej płaskiej równiny. Kiedyśm dobę później jechałem po równię jak stół szosie, od dzielającej miasto od gór, miśliłm znów przed sobą tę ścianę ze skał i piargu o delikatnych, w blasku porannego słońca prawie przezroczystych, filiflowych cieniach, pod turkusowym niebem.

Jedźmemy potężnymi trzema czarnymi amerykańskimi ciężarówkami.

W GÓRACH

Wjeżdżamy w głąb wozu. Chude było, barany i krowy szczytą całkiem wyschłą trawę. Szerokimi serpentynami wspinałm się z nieoczekiwaną szybkością coraz wyżej i wyżej, aż cała strona sowiecka leży pod nami. W świetle rannego słońca beżkresna pustynia, u stóp skupisko drabnych, białych centek — Aszchabad, na horyzoncie smugi niebieskie, zlewające niebo z ziemią i do złudzenia przypominające zangłone morze, a tu bliżej faliste spady gór o kształtach wyolbrzymionych fałd zmiętego, szarego żółnierskiego koca, ta sama miękkość załomu, a w niektórych miejscach ten sam ton szary.

Dzika pustka gór, wyschłe osty na piargu, kilka rudnych glinianych osiedli w ruinie — to wszystko. Wysoko, wśród księżycowego pejzażu kilka małych złotych domków, i maneż, właśnie ćwiczą żołnierze na kilkunastu koniach. Na innym płacyku ćwiczy mały oddziałek chwytów karabinowe. Wyglądają zdaleka jak żołnierzyki z otowiu. Przychodzi mi na myśl lermontowski Pieczorin, szukający w dzikich górach Kaukazu przygód, choćby najniebezpieczniejszych, by zabić żrącą go nudę. Czy ludzi podobnych nie ma i dziś na tych „czujkach” granicznych? W powieści Lermontowa mamy bogate w roślinność i dzikie góry Kaukazu, tu są wyschłe grzbiety granicy perskiej, ale zawsze te same, zgubione na krańcach olbrzymiego państwa zbrojne forteczki i ludzie, żyjący tam podobnym życiem miesiącami, może latami, oderwani od świata. Przechodzą stulecia, zmieniają się ustroje, ludzie zostają jakże podobni wbrew pedagogiom i propagandom.

GRANICA

Dojeżdżamy w niecałą godzinę do Gałdanu, granicznego punktu celnego, położonego o 30 km. od Aszchabadu. Więcej niż 2000 m. ponad poziom morza. Zostajemy tam do drugiej, bo rewizja trwa bardzo długo.

Gałdan — kilka skromnych budynków, celnicy wyprawiają lory z Lenzyną i nie spieszą się. Kilkunastu sennych żołnierzy siedzi w cieniu domków. Patrzę na zbocza górskie i pytam jednego z nich, jak wyglądają na wiosnę. Odpowiada mi, że są zupełnie zielone, że rośnie tu wiele złotych i czerwonych tulipanów. Dziś na niektórych tylko dojrzeć możemy rzadko rozsiane ciemne kępki jakichś krzaczków i wielkie, wyschłe, złoto — żółte osty na najbliższych wzgórzach i wzdłuż szosy. Dzięki wysokości — świeższe powietrze, ale słońce mocno piecze. Proszę celnika o pozwolenie pozostania cały czas w pokoju, gdzie odbywa się rewizja. I tu przy gorączkowym rozpukowaniu tobozków znajomię się z jadącymi dziećmi i paniami. Patrzę na chude kosteczki Jasia Pajączka, na jego bystre, pewne oczy i mały, trochę zadarty nos. Znajamiam się z braćmi Starczewskimi, braćmi Grzeszkami, z rodziną Dąbrowskich i wielu innymi Panna Dąbrowska ma sześć lat. Na bujnej rudzie czuprynie nosi słomiany kapelusz z odchyłonym sztywnym rondem i z małym, do ronda przyczepionym, bukieciem czerwonych i niebieskich kwiatków. Ma ciemną, wiśniową sukienkę. Po długich namowach zadeklaowała mi wierszyk: „Kiziu — Miziu”. Pótem jeszcze miała zaśpiewać i zatańczyć. Ale nagle stawia warunek matce, że musi otrzymać napałek i to zaraz. Matka się na takie ultimatum ze względów pedagogicznych zgodzić nie może. Ratując sytuację ośmiolatekni jej brat, Januszek, który odrazu zgadza się coś zadeklaować i w skupieniu recytuje:

Już nie żyjesz i już nie wrócisz,
Panie Marszałku, Wodzu Nasz.
Wiję szlndary, czarne szlndary
I czarna krepka spada na twarz.

— Skąd znasz ten wiersz? pytam.
— Dziadzio ze Lwowa przysyłał gazetkę do Turkiestanu.

REWIZJA

Rewizja jest nadzwyczaj dokładna, ale uprzejma. Każdy papier zapisany przegląda specjalny urzędnik, umiający czytać po polsku. Celnik zabiera się do kufków i worków jadących z nami pań. Cała nędza tułaczki, walka o byt, wszystko to napisane na tych biednych przedmiotach. Jedna z pań stawia na stole worek sucharów. Suchary z okropnej maki, stare, wyglądają jak górski piach i brunatne kamienie. Po wysypaniu zawartości worka i starannej rewizji — właścicielka sucharów pilnie je zgarnia z powrotem. Iran, Teheran, Bombaj? — cóż mo-

żna wiedzieć? Może znówu głód i poniewierka. Nauczyła się nieufności wobec losu. Potem idzie kufer z dziesiątkami szmatek i szmateczek. Resztki z jakichś podszewek, sznurków, stare guziki, graciarnia. Celnik rozwija każdą szmatkę. Zanurza metalowy kijek do każdej puski i słoika. Jedna z pań, matka z dwójgim dziećmi, jedzie z Turkiestanu. Pod starannie uprąną bielizną dzieci leżą pierniczki miodowe i trzy wielkie butelki miodu. „W kołchozie wypłacano nam trudnodnie miodem” — wyjaśnia nam.

Przychodzi kolej na toboły innych rodzin. Jeden zawiera ozdoby skromnego mieszkania dywaniki wyszywane włóczką, poduszki w desenie haftowane z długimi frendziami, firanki z nicianych koronek, starannie ułożone. Te właśnie przedmioty były skarbem i ratunkiem rodzin. Ze sprzedaży mogły dokarmiać swoje dzieci. Niekiedy mogły odejść dobytek wiozą ze sobą dalej w świat.

„MAMA UMARŁA...”

„Ach, proszę pana, nie ma nic straszniejszego, jak kiedy dziecko jest głodne i nie ma co mu dać jeść” — mówi jedna z matek. Dzieci bez rodziców opowiadają, każde inną i każde smutną, historię. Gdzie twój ojciec? Nie wiem. Mama umarła. Albo mama w kołchozie została — nie puścili. Albo mama została na stacji. Zwykle nie wie na jakiej. Wyszła z wagonu. Pociąg ruszył. Jest jedna dziewczynka w gromadzie. Przybyła na stację do Aszchabadu z ciężko chorymi: matką i bratem. Matkę trzeba było zaraz ze stacji wysłać do jednego ze szpitali. Braciszka również. Ale skierowano go do innego. Całą rodzinę placzącą rozerwano na stacji. Przy pożegnaniu matka poleciła córeczce, żeby strzegła, jak oka w głowie, małej skrzynki, bo tam są obrączki. Po kilku dniach matka umiera w szpitalu aszchabadzkim. Brat nadal leży ciężko chory, a dziewczynce pod namiotami ukradziono skrzynkę z obrączkami.

W IRANIE

Koło drugiej godziny rewizja skończona. Ruszamy dalej. Jeszcze kilkadziesiąt metrów zwięza się szosa. Warta sowiecka na samym grzbiecie góry, ubranym w szlaki drutu. Przepuszczają nas po krótkiej kontroli przez odrutowaną bramę.

Jesteśmy w Iranie — odruchowo się zęgam i czuję przyjacielski uścisk ciężkiej ręki szofera na moim ramieniu. „No cóż, żeby nie je-

den człowiek, to byśmy tam wszyscy zginęli”.

Pod tym niebem promiennie turkusowym góry dalsze są zupełnie różowe. Niektóre osypiska szare, ale ta szarość w świetle nieba robi wrażenie zielonkawe. Bliżej wzgórz prawie cytrynowe od wyschłych ostów. Przez drogę przebiegają wielkie szczyry jak króliki, dzieci nazywają je zajaczkami oraz niewiarygodnej wielkości jaszczurki na wysokich nogach. Dojeżdżamy do Badżyżirano. Już zupełnie wschodnie miasteczko z płaskimi dachami i kilku domami większymi, przeznaczonymi dla wojska. Budowane są przez Niemców. Tu urzędują przedstawiciele władzy sowieckiej, który znów bada nasze dokumenty. W małym pokoiku siedzę na ławie pokrytej makatą dółnownie tego typu co otomana w gabinecie ojca w latach mego dzieciństwa. I staje mi nagle przed oczami ten gabinet, stara otomana z popusymi sprężynami i dziurami wykopanymi przez nasze „koziolki”. Siedmioro rodzeństwa po kolei pod wielkim portretem ukochanej klaczy „Confidence” wysiedziało tę kanapę słuchając głośno czytania ojca. Czytał nazyw po kolei „Trylogię”, „Davida Copperfielda” i wiele innych książek. Widzę tak wyraźnie twarz jego oświetloną przez lampę, profil z dużym orlim nosem i ciemnymi wąsami. głowę, przechyloną w tył i łzy — jak tylko scena zaczynała być wzruszająca. Jakże pamiętam po tylu latach w pałacy upał na granicy Persji rozkosz tej wieczornej półgodziny i obawę, że się już szybko skończy, że każą nam iść spać.

PERSOWIE

Pierwsze wrażenie z Persji to niesłychana uprzejmość ludności. Więcej niż uprzejmość — serdeczność. Wszystkie dzieci i wielu starszych machają nam serdecznie rękami. W Kuczanie przynosi nam dwóch młodzieńców winogrona za darmo. Bo ruble trzeba było oddawać na granicy, a nikt tu nam tumanów nie wydawał.

Jazda dalej z Badżyżirano do Kuczana najtrudniejsza i chyba najpiękniejsza. Zakrety są tak ostre, że wielkie Dodge brać ich za jednym zamachem nie są w stanie. Szereg katastrof już tu miało miejsce od wiosny. Drogę rozszerzają robotnicy sowieccy. Wjeżdżamy w wąską przecięcie wśród najeżonych rudoczerwonych skał, przejeżdżamy wbród rzeczkę i tam robimy odpoczynek. Dzieci z rozkoszą puszczają nogi w wodzie, w ogóle są nadzwyczaj grzeczne. Przepaście wcale ich nie straszą. Reagują na naszą podróż jak na majówkę. Koło każdego strumyka wody zaraz bujne życie roślinne — smukłe, młode topole, wierzyb. Od czasu do czasu wioski. Kilkanaście, kilkadziesiąt małych domków glinianych. Z przodu słupki, wycieczne cienkie belki — kolumny. Nawet najuboższe domki mają proporcje, prostotę i charakter. Dają oczom radość pięknej architektury.

Po Kuczanie już droga równa. Zmierch, potem noc.

Koło pierwszej godziny w nocy budzi nas rudawy blask elektrycznych latarni — to Meszched.

Józef Czapki

Salus Reipublicae Suprema Lex

DOBRO RZECZYPOSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

Musimy zdobyć się na odwagę decyzji, męstwo ryzyka. Musimy zapomnieć o sobie, wszyscy bez wyjątku. Musimy skupić wszystkie siły naszego ducha na jednym celu — stworzyć nową Polskę. Jeśli nie zdobędziemy się na to, to nieubłagane prawo sprawiedliwości dziejowej rzuci na nas hańbę, a na nasze głowy spadnie wzgarda przyszłych pokoleń.

P O L A C Y W Ś R Ó D A N G L I K Ó W A U S T R A L I J C Z Y K Ó W N O W O Z E L A N D C Z Y K Ó W

Literatura utrwałała sylwetkę żołnierza-męczennika, wplatanego w chaos kosmicznych nieszczęść i krzywd, znieczulonego w grozie i potwornościach. W najlepszym razie mądrość literackiego żołnierza ubrała się w kostium Szwajka. Życie tymczasem ukazuje równie często na swym rzeczywistym ekranie żołnierza uśmiechniętego, żołnierza-pana, mającego prawa całkiem nadzwyczajne, słapającego beztrudno poprzez kontynenty, obcującego z dziwami natury i kultury, czerpającego pełnymi garściami wiedzę życia bez większych wysiłków.

Polski żołnierz, olśniony cudem piramid i kolosów Memnona, wsłuchujący się w echa świątyni Karnaku, wypatrujący niebo z góry Tabor, rozkoszujący się szumem wód Nilu i Tygrysu, przemierzający pustynie sryjską i libijską, mogący wpatrywać się w kultury ludów Wschodu i Zachodu, wchłaniający w swą pamięć obce języki — jest tym żołnierzem panem, doznającym uniesień duszy nie tylko na widok obłoków dymu i ognia.

Sylwetka jego odznacza się bogactwem typów. Są tacy, których Brytyjczycy poczytują za swoich, tak są do nich podobni i tacy, którzy nie stęty nie przynoszą zaszczytu brzmieniu słowa „Pole”. „Polish” po angielsku znaczy „wyczyszczony”, „błyszczyący”, a słowa zawsze sugerują treść. Zatem Polak w wyobraźni brytyjskiej, to człowiek błyskotliwy, uśmiechnięty, rzutki, odważny, nie pozbawiony oczywiście błędów lekkomyślności, fanfanonady, próżności. Nasz orzełek — „eagle” jest niezwykle szczęśliwym symbolem. Znamionuje lotność, zaciętość, wolność. Wieg też jest przedmiotem pożądania naszych, brytyjskich zwłaszcza, sprzymierzeńców. Orzełek, błyszczyący na czapkach marynarzy i rafistów, na kapeluszach australijskich i nowozelandzkich, na pierśniach siostrzeczki szpitalnych, uzyskany zawsze w chwili serdecznej rozmowy, gorącego wspomnienia, słów pełnych obopólnej sympatii, pozostanie zawsze skarbem najcenniejszym tej wojny, spojeniem rąk polskich i brytyjskich na polu bitwy.

„Tipperary”, dziwnie prosta i sentymentalna piosenka, unosi się nad

historią przyjaźni polsko brytyjskiej. A raczej w ogóle pieśń. Z Anglikami trudno się dogadać. Inaczej mówi Szkot, inaczej Londyńczyk, Walijszczyk nie rozumie Irlandczyka, obaj razem mają „trudności z Australczykiem, który uśmiecha się, gdy rozmawia z Afrykańczykiem, wszyscy razem opowiadają sobie anegdotki o języku Amerykanów; inaczej brzmi wymowa w ustach oficera, odmiennie w ustach szeregowca, inaczej mówi marynarz, niepodobnie do niego lotnik... Złośliwi mówią, że każdy Anglik ma kilka języków na różne pory dnia. To też choć najmniej umiejący najchętniej rozmawiają po angielsku, jednak ręce potem są mocno sfatygowane.

Najlepszym słownikiem są uśmiechy i pieśni. Jest w tych żołnierskich, alianckich śpiewach chóralnych przy piwie w kantynach i „nafiach” urok wichru morskogo: kapie się dusza w żywiole. Ci którzy przeżyli nie zapomną nigdy aleksandryjskich barów, olbrzymiej hali Fleet Clubu, nowozelandzkich, australijskich i angielskich kaptyn El-Daby i Mersa Matruh i cichych wieczorów na odwodowej „niebieskiej” linii Tobruku i w skałach Gazali. Czasem wspominał męskie barytony, ale częściej nieco fałszywe tenory ciągnęły sentymentalną australijską „Gundagay” lub „O my river”, mając w oczach gwiazdy Victorii i Sydneyu, aż wszystko stąpiło się w pokrzykiwaniu cow-boy-skiej „Yipih yaya” lub mniej lub więcej cenuralnych żołnierskich piosenek. Od Polaków domagali się zawsze Brytyjczycy „Czerwonego pasa”, sami akompaniując krzykiem przy kolomyjce i „Umf-a — umf-a”, która napewno zawędruje do Australii.

Do Australii... He to zaproszeń szczyrych otrzymali Polacy do tego kraju, ile adresów tamtejszych wypełniały notatniki żołnierskie. Czy to prawda, że Australijczycy pragną wspólnej granicy z Polską, trudno zaręczyć, ale ta wojna zrodziła zupełnie nowy fenomen historyczny — żywiołową przyjaźń polsko-australijską. Zapewne dlatego, że blisko siebie leżą granice serc, wyobraźni i temperamentów tych obu narodów. Szeroki gest, humor, skłonność do kieliszka, lekkomyślność — nie znaleźli

tego „Aussies” u różważnych, chłodnych braci z Imperium, znaleźli to u Polaków.

Wesoła księga humoru australijskiego jest zbyt pstra, aby silić się na jej kopiowanie. Zawiera ona spanie pokotem na pryncypalnych ulicach Aleksandrii i Kairu, jeżdżenie wózkami dziecięcymi, wycięgi z tramwajami, dosiadanie koni na pomnikach i t.p. Zawiera też fantazję dziennych patroli pod same linie nieprzyjaciela, brawurowe jazdy przez kurkawece artyleryjskie i t.d. Tacy są Australijczycy. Takich polubił się wraz z ich dalekim, bogatym krajem i rosnymi, uśmiechniętymi dziewczętami z ich fotografii.

Podobni do nich są Nowozelandczycy, którzy Polaków zawsze uważają za „best fighters in the world” („najlepszych żołnierzy świata”). Ich przeciwieństwem są spokojni Południowo-Afrykańczycy („Springboks”). Polacy mają jednak ten talent, że swoim towarzystwem pociągają. To też garnizony episkop-libijskie widziały niejedną wesołą scenę przyjaźni polsko-afrykańskiej.

Imperialne narody brytyjskie odznaczają się różnorodnością temperamentów. Ale Anglijsami — z wyspy są typem tak zdyscyplinowanym, jednakowo wychowanym, że niemal nie dostrzega się różnic między jednostkami. Rzeczbyś piastują w sobie miarę i wagę światowego imperium, są zwierciadłem potęgi brytyjskiej, probierzem jej cnót i zalet.

Jan Bielawicz

PODRÓŻE... PODRÓŻE...

Możnaby długo i nadzwyczaj barwnie opisywać wszystkie nasze podróże. Przecież od trzech lat, z krótkimi lub dłuższymi przerwami na „siedzenie”, ciągle podróżujemy. Podróżując wszelkie stany i roczniki. Starcy zgryźbiali z białymi brodami i sędziwe staruszki, i dzieci przy piersi i te nieco starsze. I ci, co dawniej okropnie byli dumni po podróży z Warszawy do Paryża (że niby tak daleko, — jedzie się aż całą dołą!) i ci, co uważali za podróż jazdę do miasta powiatowego, oddalonego o... 40 km. Jedni i drudzy wałą teraz trzy, cztery, pięć tysięcy kilometrów tak naturalnie, jakby od urodzenia nie nie robili, tylko jeździli po całej kuli ziemskiej. Tak się do tych jazd przyzwyczaili, tak ich nie nie męczy... Np. podobno nie odchodzić ma zamiar starać się o urlop, by z Bagdadu, pojechać do dentysty do Teheranu zapłombować sobie jeden ząb.

W tych warunkach, gdyby człowiek nie wiem jak ładnie umiał opisywać podróże — to dla kogo pisać?

Wszędzie byli, wszystko widzieli. Opisujesz np. malownicze, karkołomne zjazdy górskie w Iranie — wszyscy krzykną jednym głosem: „Widzieliśmy, widzieliśmy”. Opisujesz charakterystyczne miasto wschodnie np. Hamadan... Z miejsca zareplikują: „Pamiętam, znam doskonale. — Jadem tam doskonale szaszłyk”. I tak dalej i dalej.

Więc nie nie chwytaj.

Szkocja, Afryka, Indie, Palestyna, Egipt, Iran, Irak... Napewno zawsze

Zwykliśmy ludzi sądzić nastrojami i przelotnymi wrażeniami. Te kryteria zawodzą wobec Anglików. Anglik nie jest łatwy w obcowaniu, nie narzuca się nikomu. Spokojny, zrównoważony, nie ma skłonności do krzyku, samochwalstwa i chwilowych uniesień. Ale jeżeli mu kto przypadnie do serca, może być pewien, że Anglik nie opuści go nigdy. Wierność, przyjaźń, dostrzymywanie słowa — to są skarby korony angielskiej. Iluż to Anglików, rozrzuconych po środkowym Wschodzie, wykuwa cierpliwie polskie słówka, koresponduje z Polakami, chłonie każdą wieść o Polsce! Jeżeliście ich jeszcze nie spotkali, spotkacie ich bardzo wielu. Skromny, młodziutki lotnik i klnący zgrabny marynarz Royal Navy lub elegancki, codziennie golony, artylerzysta Royal Horse Artillery, czy innej, nie będą was zapewnić o swej sympatii, ale posłuchajcie, co mówią między sobą! Tych ludzi nieustraszonej, ale mądrej odwadze zawdzięcza dziś świat trwanie walki ze złem.

Trudno Brytyjczykom nauczyć się po polsku. Ale jeżeli który z nich jest muzykalny, napewno zagra Chopina lub Paderewskiego. Dziwnymi drogami chodzi historia. Ta druga wojna światowa rzuciła nas w ramiona, nieznaną nam od świtu naszych dziejów. A narody te poznają nas poprzez polską muzykę. I poprzez orzełka na czapce żołnierskiej i poprzez imię „Warszawa”.

Jan Bielawicz



Żołnierz polski na posterunku w pustyni Zachodniej

czytelnik będzie wiedział lepiej i widział więcej.

„Spróbujemy jednak coś „egzotyczniejszego”. Załóżmy się, że nikt z was nie nocował w irackim areszcie... Znacze tysiąc i jeden aresztów, a irackiego nie znacze. A ja i moi towarzysze podróży możemy zapewnić, że był to nadzwyczaj sympatyczny areszt, przypominający znane nam dotychczas areszty tylko z tego, że okna były zakratowane.

Już widzę, że niektórzy zaczynają się niepokoić... Wstawili się, czy co? Awantury robili na pustyni... Upolowali lwa, a jest właśnie czas ochrony na lwy?...

Spokojnie, drodzy państwo! Zaraz sprawę wyjaśnię...

Ani nikt się nie wstawił, bo trunki są zbyt drogie, ani lew, bo był tylko szarak, którego szofer złapał żywcem, gdyż zaczął idiota pędzić po drodze przed światłem latarni i trzeba go było schwytać, żeby się zanadto nie zmęczył. Sprawa przedstawiała się dużo prościej:

Oto wieczorem na pustyni wybuchła burza. Najpierw piaskowa. Wiało kurem tak, że nie było widać, z trudem szofer wyszukiwał drogę, czyli przetarty ślask na pustyni. A potem zaczął padać deszcz. Więc jechać w tych warunkach nie można. Zajeżdżamy do miasteczka późnym wieczorem; trzeba prędko gdzieś pod dach schować samochody, bo cenny bagaż zamoknie. Garaży nie możemy znaleźć, ciemno, pusto.

(Dokończenie na str. 6-jej)

ŚLĄZAK JESTEM

Marcina Ciołka poznałem w kopalni. Uczył mnie, niezdarnego praktykanta, jak to stemple podbijać, jak się boruje i ładunki miedzianku zakłada. Uczył — bo tak kazali tam — na górze, uczył — z wyraźnym lekceważeniem studenta „warszawisty”, mało tego — z nieukrywaną niechęcią dla nowego i... cudzego człowieka, on! Marcina Ciołek! górnik z dziada i pradiada!

Mówił mało, często — gesto słówek niemieckich używał, ale kłął po śląsku, od „sapieronów”, od... ale mniejsza o to. Wolalem już to, niż pełne pogardy miledzenie i jeszcze bardziej pogardliwe splunięcie przez zęby. Wymagający był mój nauczyciel a i fach swój znał jak mało kto.

Pierwszą pochwałę w postaci burknicia: „richtig, ganz gut zrobiono, pieronie...” otrzymałem po wyrwaniu dwoma nabojami bryły węgla, ale lody przysły ostatecznie po wyjaśnieniu, że ojciec „warszawisty”, to znaczy mój stary, też górnik, też nie jeden rok pod ziemią spędził i właśnie dlatego chciał, by syn życia górniczego zakosztował. Wtedy to zostałem zaproszony przez pana Marcina do niego, do domu, „filizankę kaffe wypić”.

Pamiętam, jak dziś, zieloną pluszową kanapę a nad nią portret pana Marcina w pruskim mundurze „feldgrau”, przepisowo na baczność. Obok na ścianie Żelazny Krzyż, niemieckie odznaczenie bojowe.

— „Eisernes Kreuz”? rozumiesz sapieronie? za to, że naszego „maschingewehr” bronili, gdy „francozy” do okupu wpadli!”

Zasepił się, z faji głęboko pociągnął i dodał innym już całkiem głosem: — „Cztery lata w okopach, cały czas tam, „im Westen”, ile ludu zginęło... naszego...”

Na temat tego „naszego ludu” nie mogłem z panem Marcinem dogadać się. Na pytanie: „toć przecie Polak jesteście, panie Marcinie?”, ucinał rozmowę krótkim:

— „Ślązak jestem, Ślązak i szlus!”

A i kochał swój Śląsk, pan Marcin, i dumny był, i zazdrosny! Uchowaj Boże powiedzieć, że gdzieś lepiej, że inne polacie Kraju są piękniejsze! Aż błądł ze złości i piorunował siarczyste.

W rodzinie pana Marcina panowały zwyczajnie nicomal patriarchalne. Sam był głową rodu, rodu górniczego, ogólnym szacunkiem ołoczony. Szacunkiem i nawet lękiem. Pamiętam jak kiedyś skarcił i zawstydził swoją ulubienicę, siostrzenicę Anni. Zagroził że, nie patrząc na wiek dziewczyny, kiekiec podmieści i publicznie paskiem wyspie. Na zabawie górniczej, gdy starzy, pykając faje i ciągnąc piwo, przypatrywali się bawiącej się młodzieży, zobaczył pan Marcin Anni tańczącą z Norbertem Baselke i paplającą z nim po niemiecku. Naprawdę że łzami w oczach tłumaczyła, że przecie Norbert po polsku nie rozumie. Uniósł się stary.

— „Kiedy pieron u nas żyje, nasz chleb je, niech nauczy się po polsku gadać! Szwabów nam nie trza! Do domu Anni marsz, „sofort!” słyszysz?”

Ponownie spotkałem pana Marcina dopiero po paru latach. Było to na dworcu w Katowicach, akurat w czasie niemieckich balonów próbnych na temat Gdańska i przejęcia przez Pomorzę. Wzburzony był pan Marcin. Za rękaw mnie schwytał i ciągnąc na bok, na szwabskie zakusy piorunował:

— „Ale, panie, nie damy? Co?! Przecież Wisła nasza tam do morza wpada! Stracimy Gdańsk, stracimy i Gdynię! A kądredy wtedy nasz węgiel w świat popłynie?”

Ostatni raz widziałem pana Marcina tuż przed wojną. W sierpniu. Był wtedy u mnie, w Warszawie, w stolicy, po raz pierwszy. Chodziłszy do Łazienek, do Zamku, z nowego wybrzeża przypatrywałem się Wisłę, zawędrowaliśmy do Zachęty. Długo staliśmy przed „Grunwaldem” Matejki. Musiałem tłumaczyć, wymienić historyczne postaci. Nie tegi

był pan Marcin w historii Polski. Niemiecką wszak „schule” kończył. Wspominałem mu wtedy i o Ciołku, który był jego ułmiennikiem, a wielką chwałą w tej walce się okrył.

— „Wasz pra, pra, pradziad, pame Marcinie!” Nieuinnie typtał Marcin szarymi oczyma i prosił jeszcze raz, by wyjaśnić, czy to takie duże zwycięstwo było? Czy to wtedy tak „na glanc” siłę krzyżacką zniszczono?...

— „Nie, panie Marcinie, nie, „na glanc”, bo choć wygrana na polu walki pełna była, nie umiano jej wykorzystać. Miast tego, by dobieć śmiertelnego wroga, by zniszczyć gniazda rozbójnicze, miast tego... nawet nie ścigano niedobitków. Trzy doby uczowano na pobojowisku, święlowano chwałę oręża. A potem... to już zapóźno było. Głowa gada nie została zmiądzona. Znikła pokora, zjawiła się pycha i buta prusacka i lupiewstwo, i zabory i „lebensraum”...

Milcząc slišmy tętniącymi życiem ulicami. Długo. Raptem zatrzymał się pan Marcin. Szare oczy, pod krzączastymi brwiami, zimne były i twarde jak stal świrdrów górniczych.

— To bez to, że oni... że mój pra, pradziad, jak mówiliście, pokpił sprawę, że serca mieli miękkie, że bić się umieli ale politykować ni... bez to ja... my...

Wartkim nurtem toczy się potok skarg. I dzieciństwo bez mowy ojczystego i szkoła gdzie bito, za uszy targano za to, że jemu, dziecku Śląska, polskie słowa na język się trafiały, i ta nauka kłamliwa, co to prawdę zatajała i te cztery lata w mundurze „feldgrau”, gdy kszano bić się za cudzą sprawę, i „Eisernes Kreuz” jak na pośmiewisko, i ta burza co wiśi teraz w powietrzu. Tak, panie Marcinie, „Bez to”. Za nasze stare błędy cierpimy. Za to, że miękkie mieliśmy serca i łatwo nas było uśpić obłudną przyjaźnią, poważnie, i łamać pokolei.

Ale teraz, gdy burza dziejowa świat cały ogarnęła, a maska obłudy z wroga spadła, — teraz stare błędy nie będą powtórzone.

Panie Marcinie, bracie mój miły, mistrzu mój z czarnych podziemi kopalni śląskich, „pieronie-siarczysty” a tak kochany — wiem... ogłoszenie rządu niemieckiego doszło do naszej wiadomości tu, na obcej ziemi...

„Marcin Ciołek, górnik, lat 58, rozstrzelany za opór władzy niemieckiej...”

I te cztery lata na froncie zachodnim, i ten portret w mundurze „feldgrau”, i „Eisernes Kreuz” za obronę „maschingewehr”, wszystko to nie ważne jest, panie Marcinie. Prawda jest, że Polakiem byłeś, synem prastarej polskiej ziemi — Śląska, potomkiem tego, co moc krzyżacką na polach Grunwaldu kruszył. To prawda jest i to jest ważne.

Wiem jak umierałeś, panie Marcinie — bo znam Ciebie, i Twoją hardą duszę Ślązaka. Szczano Cię za „opór władzy niemieckiej”... Może skazał Cię ten sam Norbert, co to nasz polski chleb jadł, a językiem kraju gościnnego gardził. Ale umierałeś patrząc prosto w lufy plutonu egzekucyjnego, szarych oczu nie znużyłeś. Może rąbałeś im co jeszcze ze Śląska — po pieronisku.

Niech ziemia Śląska, ziemia czarnych brył węgla, ziemia twardych, prawych Polaków — lekka Ci będzie...

I wierz mi, panie Marcinie: dzieć Twojej Anki znów będą do polskiej szkoły chodzić i językiem ojczystym mówić. I ich dzieci, i ich wnuki. Stare błędy nie będą powtórzone. A na brobie Twoim, panie Marcinie, wyrwie:

„Nie będzie Niemiec pluć nam w twarz i dzieci nam germanić”. Tak nam dopomóż Bóg.

W. H.

PODRÓŻE... PODRÓŻE...

(dokończenie ze str. 5)

Ale oto koło samochodów zjawiają się policjanci i nadzwyczaj uprzejmie proponują, by zjechać do komisariatu policji. Czemu nie? Możemy zjechać do policji... Gościnność nadzwyczajna. Samochody w mig ulokowane i my też. Policjanci są prze mili. Znoszą łóżka, poduszki, koce, salutują, starają się o herbatę. Ogromnie są zadowolony, dowiedziawszy się, że jesteśmy Polacy. Zyciwość widac w każdym ich uśmiechu.

Wtem ktoś zwraca uwagę, że w oknach kraty, małe okienka w drzwiach również z kratami. Może to areszt? Zaczynamy się śmiać. Kto nas przekłódo do licha! Znowu kryminały? Trzeba jednak przyznać, że ten aresztik wcale sympatyczny, a gospodarze również. W jednym pokoju czuwał nad nami strażnik, ale miał bardzo niespokojne sumienie o sąsiedni pokój, oddany nam również do rozporządzenia. Nie mógł przecież pilnować i jednych i drugich. A w dodatku teka jednego z podróźnych wyglądała tak, jakby była wzięta z kieszonki. Policjant zapro-

ponował schowanie cennej teki do kasy ogniowatej, ale właściciel odmówił, bo nie chciał pozbawić swej teki pozorów dostojności, a miał w niej tylko ręcznik i stare gazety. Więc policjaat „na wszelki wypadek” drzwi zamknął wielkim kluczem i bardzo zadowolony i już spokojny usiadł w sąsiednim pokoju. Ale że był to człowiek ludzki, więc przed tym dał na migi znać, że jak będą musieli wyjść w nocy, niech butem walą w drzwi. Nikt jednak butem w drzwi nie walił, bo wszyscy pod opieką policji irackiej spali, jak w domu u mamy.

A rano nie było ani „padymajstra”, ani niczego podobnego. Podziękowaliśmy za gościnę i żegnani serdecznie przez naszych gospodarzy pojechaliśmy dalej.

Ale do kolekcji naszych wrażeń „kryminalnych” przybyło jeszcze jedno, szczególnie nowe i egzotyczne: bo gdzieby to było możliwe pod inną szerokością geograficzną — taka spokojna, miła noc w... policji.

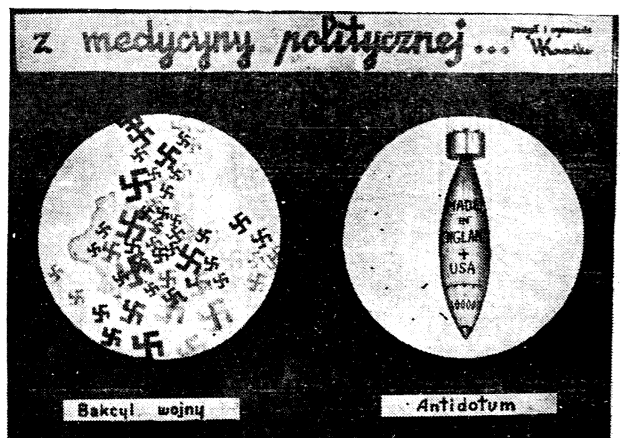
J. Scheinkońg

Od Redakcji

Połączenie Armii Polskiej z SZRR z Wojskami Polskimi na Środkowym Wschodzie pozwala na zesrodkowanie wysiłków w wielu dziedzinach, m. in. także w dziedzinie prasowej.

W związku z tym Dowódca Armii Polskiej na Wschodzie rozkazał połączyć wychodzące dotąd odrębnie tygodniki wojskowe „Orzeł Biały” i „Ku Wolnej Polsce” pod wspólnym tytułem „Orzeł Biały”.

Niniejszy numer „Orła Białego” ukazuje się z opóźnieniem z powodu chwilowych trudności technicznych wywołanych przeniesieniem drukarni.



SPRZYMIERZENI W OFENSYWIE

Desant amerykański w Afryce Północnej. — Pogrom Rommla w Egipcie. — Mowa Hitlera. Pod Stalingradem bez zmian. — Niepowodzenia Japończyków na Nowej Gwinei.

Nad Algierem powiewają chorągwie amerykańskie i brytyjskie!

Resztki armii marsz. Rommla w pośpieszonym odwrocie na wschód, przekroczą granicę egipsko-libijską!

Kiedy trzy tygodnie temu premier Unji Południowo-Afrykańskiej marsz. Smuts oświadczył w Izbie Gmin, że okres obrony się skończył, że Sprzymierzeni w najbliższym czasie przejmą inicjatywę w swe ręce, mało kto spodziewał się, że rozpoczęcie ofensywy jest już tylko kwestią najbliższych dni. Lądowanie wojsk amerykańskich w Liberji zdradziło do pewnego stopnia zamiary Sprzymierzonych. Wydarzenia nie dały na siebie długo czekać.

23 października po pięciodniowym, gwałtownym bombardowaniu lotniczym 8 armia brytyjska przystąpiła do ofensywy na silnie uciążone pozycje niemiecko-włoskie pod El Alamein.

8 listopada, a więc w dwa tygodnie później, amerykański korpus ekspedycyjny pod dowództwem gen. Eisenhowera rozpoczął lądowanie w kilku punktach francuskiego Marokka i Algieru.

Likwidacja Niemców w Afryce Północnej wydaje się być teraz kwestią czasu. Oficjalne źródła brytyjskie powołując się na słowa niemieckiego generała von Lutzuwa, który zapowiadał przez radio berlińskie możliwość interwencji Ameryki w Afryce Północnej, podkreślają, że Trzecia Rzesza nie była zaskoczona biegiem wypadków. Hitler wiedział o siłach świętej w basenie Śródziemnomorskim, był jednak bezsilnym. Nie był w stanie wystać Rommlowi posiłków. Nie mógł pomimo najszybszych chęci zapobiec akcji Amerykan w Algierze i Marokku.

Stwierdzenie to w pełni ujawnia trudną sytuację Trzeciej Rzeszy w czwartym roku wojny.

Fakt, że wielki konwój okrętów amerykańskich dopłynął nietknięty do brzegów Afryki Północnej, kładzie kres bajeczkom propagandy hitlerowskiej o całkowitym opanowaniu mórz i oceanów przez niemieckie okręty podwodne.

Cios był dobrze wymierzony. Rozbiecie armii Rommla, okupacja francuskich posiadłości, stanowią niewątpliwie punkt zwrotny w obecnej wojnie. Afryka Płn., tak stwierdził premier Churchill w swym przemówieniu stanie się odskończoną w dalszej akcji utworzenia nowego frontu przeciwko państwu Osi.

Już teraz, na skutek opanowania lotnisk w płn. Afryce francuskiej, Włochy wydane są na łaskę i niełaskę lotnictwa Sprzymierzonych. Odległość dzieląca Rzym, Neapol, Genuę od nowych baz jest zabawką dla wielkich bombowców typu Lancaster, Blenheim, B-29, czy Baltimore.

Komentator radia niemieckiego gen. Dietmar, usprawiedliwiający klęskę Rommla w Afryce, oświadczył, że Niemcom bynajmniej nie zależało na Egipcie w tym stopniu co Anglikom, że sytuacja armii brytyjskiej pogarsza się w miarę jej oddalania się od baz zaopatrzenia, że Rommel spełnił swe zadanie wiążąc wielkie siły brytyjskie, które wobec tego nie mogły być użyte na innym terenie walk,

że Afryka jest dla Trzeciej Rzeszy drugorzędnym teatrem wojny i t. p.

To „subtelne” rozumowanie oficjalnego przedstawiciela niemieckiego sztabu generalnego zestawione ze słowami Rommla, który nie tak dawno, otrzymując buławę marszałkowską, oświadczył, że klucz do Egiptu jest w jego rękach, pozwala przypuszczać, że Niemcy wobec beznadziejnej sytuacji rezygnują ze swych planów w Afryce, że Rommel wsiądzie na statek i odpłynie do Italii. Jakże by mu tam Włosi zgotowali powitanie, gdyby mogli swobodnie wyrażać swe uczucia, nie trudno sobie wyobrazić, że Niemcy wobec bezradności, który został w włoskie dywizje na pastwę losu, każąc im kryć odwrot Niemców.

Walka w pustyni zachodniej ujawniła przynajmniej przewagę lotnictwa Sprzymierzonych, które panuje całkowicie w powietrzu. Lotnicy niemieccy i włoscy latający na maszynach, które nie dorównują typom samolotów amerykańskich i angielskich, nie byli groźnym przeciwnikami dla R.A.F. Nieustannie, ciężkie bombardowanie pozycji niemieckich, które wydawały się nie do zdobycia, nie tylko wyszczerbiło mocno linię Rommla ale również zachwiało psychiczną odporność żołnierzy niemieckich i włoskich. Nie wytrzymali oni też strasznego uderzenia pancernych dywizji brytyjskich, wyposażonych w 28 tonnowe czołgi amerykańskiego typu gen. Grant. Przebieg walk był wysoce dramatyczny. Rzucono w ślad za czołgami oddziały australijskie natarciem na bagnety wbiły się w linię nieprzyjacielskiej, utrzymując po zaciętej walce zdobyte pozycje.

„Była to najstraszniejsza bitwa w pustyni” telegrafował jeden z reporterów angielskich. Pękły linie niemieckie. „Prześwietny” Afrika-Korps uciekał w nieładzie, w panicznym odwrocie gorliwie sekundowali Włosi. Rommel w swej kwaterze w Fuka

odbierał meldunki, które donosiły o całkowitym zaprzepaszczeniu sukcesów ofensywy letniej; zrozumiał, że okopując się pod El Alamein, przechodząc z wojny ruchomej do pozycyjnej w warunkach pustynnych, zdala od baz, popełnił kardynalny błąd. Dowódca frontu gen. Aleksander i dowódca 8-jej armii gen. Montgomery świetnie rozegrali sytuację bijąc Rommla jego własną metodą.

W walkach zginął zastępca Rommla gen. Stumme, wśród jeńców znajduje się dowódca Afrika Korps gen. Thoma oraz szereg generałów włoskich.

Gen. Thoma został wzięty do niewoli zaraz na początku natarcia wojsk pancernych. Przyprowadzono go do dowódcy brytyjskiej armii gen. Montgomery. Obaj generałowie zasięli w namiocie nad mapą i wspólnie śledzili przebieg operacji. Nadchodzące co kilkanaście minut meldunki dawały dokładny obraz sytuacji. Po ośmiu godzinach gen. Thoma przyznał, że położenie jego korpusu jest beznadziejne.

W chwili gdy armia Rommla przestała już stawiać zorganizowany opór, wojska amerykańskie wyładowały w Afryce Płn. Jednocześnie Prezydent Roosevelt wystosował orędzie do Narodu Francuskiego, obiecując odbudowę Wielkiej Francji. Na czele wojsk francuskich w Algierze stanął gen. Giraud, który niedawno zbiegł z niemieckiego obozu jeńców i zdeklarował się po stronie Francji Walczącej.

Stanowisko rządu Vichy jest takie, jakie było musiał. Pétain i Laval, posłuszni wasale Hitlera, nakazali wojskom francuskim walczyć. Zerwali stosunki dyplomatyczne z Ameryką i usiłują przez Marsylię posyłać posiłki do Afryki. Jednocześnie zdradca Doriot, przywódca francuskiej partii faszystowskiej, grozi w Paryżu W. Brytanii wojną, wolaając, że Niemcy udzielą Francji czynnej pomocy.

Tymczasem intencje Sprzymierzonych są wyraźne. Roosevelt wystosował notę do beja Tunisu, w której daje wyraz nadziei, że bej nie będzie się sprzeciwiał przemaszowi wojsk amerykańskich przez Tunis w kierunku Trypolitanii.

Jaka będzie odpowiedź beja? Możemy przypuszczać, że nawet odmowa nie zatrzyma wojsk amerykańskich na granicy. Tak więc wojskom Osi w Afryce grozi wzięcie w kleszczę i nieuchronna likwidacja.

W dniu, w którym Niemcy otrzymali katastrofalną wiadomość o interwencji amerykańskiej w Afryce, przemawiał w Monachium Hitler z okazji 19-tej rocznicy nieudanego zamachu stanu. Nastroj chwili przebiegał wyraźnie w tonie mowy i znajdował odbicie w nastrojach słuchaczy. Hitler oświadczył, że wie jaki los czeka Trzecią Rzeszę na wypadek klęski i obiecał, że bez względu na to co się stanie, on nie pójdzie śladem kaisera i nie ucieknie z Niemiec. Zdobył się również Hitler na szczere wyznanie, że los Trzeciej Rzeszy przesładuje go ciągle, że w przeciwieństwie do innych Niemców nie ma chwili wytchnienia. Hasłem ostatniej mowy Hitlera jest: „Durchhalten!” (przeztrzymać).

Obrazu trudności Niemiec w basenie Morza Śródziemnego dopełnia sytuacja na Bałkanach. W Jugosławii i Grecji wrzenie. Radio berlińskie cytowało przemówienie t. zw. „premera” serbskiego Nedicza, skierowane przeciw gen. Michajłowiczowi, w którym zdradca ten usiłuje przekonać Serbów, by ponownie nie podnosili broni przeciwko Niemcom.

Wobec wypadków w Afryce front rosyjski schodzi na plan drugi. Pod Stalingradem tempo działań wojennych znacznie się zmniejszyło. Gen. Dietmar, o którym pisaliśmy wyżej, oświadczył, że Niemcy osiągnęli swój cel pod Stalingradem, że nie będą więcej szturmować, że rola atakującego przeszła na Rosjan, bo im powinno zależeć na zdobyciu utraconych pozycji a nie Niemcom na zdobyciu nowych. Słowa te oznaczają przejście do defensywy. Na Kaukazie Niemcy również nie posuwają się naprzód. Rosjanie bronią się skutecznie i, przeciwnacząc, zadają Niemcom ciężkie straty.

Także i drugi partner Osi — Japonia rejestruje niepowodzenia. Na Nowej Gwinei wojska australijskie, po zatrzymaniu ofensywy japońskiej skierowanej na port Moresby przeszły do przeciwnatarcia i spychają przeciwników do morza. Po zdobyciu miejscowości Kokoda, ważnego punktu strategicznego między grzbietem górskim Owen Stanley a wybrzeżem, niemal cała wschodnia część Nowej Gwinei została oswoobodzona od nieprzyjaciela. Japończycy trzymają się tam jedynie jeszcze na wąskim pasie wybrzeża między Buna i Gona.

Reasumując wydarzenia ubiegłego tygodnia możemy stwierdzić radykalną zmianę sytuacji.

W czwartym roku wojny totalnej stoimy przed decydującą rozprawą.

ZetHo

NASZA KRONIKA

W rocznicę urodzin J. C. M. Szacha Iranu, przypadających w dn. 26 ub. m. gen. Anders w imieniu Armii Polskiej złożył życzenia oraz ofiarował artystycznie wykonaną szkatułkę, w dowód wdzięczności za gościnne przyjęcie na terenie Iranu. W godzinach południowych w pałacu Szacha odbyło się śniadanie. O godz. 17-18 nastąpiło wręczenie gen. Andersowi Wielkiej Wstęgi Orderu Złotego Lwa i Słońca. Po południu J. C. M. Szach oraz gen. Anders byli na pięknym pokazie sportowym, obrazującym sport perski od czasów króla Dariusza po dzień dzisiejszy.

* * *

Gen. Anders złożył wizytę J. K. W. Regentowi Iraku w Royal Bilat. W imieniu Rządu R. P. charge d'Affaires m.in. Malhomme przedstawił Regentowi gen. Andersa.

J. K. W. Regent interesował się żywo losami Armii Polskiej. Przed wizytą gen. Anders, w towarzystwie

Szefa Protokołu Dyplomatycznego Iraku, zwiędził Mauzoleum Królewskie gdzie złożył wieńce na grobach królów Faisala i Ghazi.

Cała prasa iracka w Bagdadzie, Mossulu i Basrze powitała w osobie gen. Andersa przybyłą do Iraku Armię Polską.

* * *

Ostatnio podczas śniadania wydane go przez dyr. Biura Informacji przy Ambasadzie Brytyjskiej p. Stewarda Perowne, koncertowała z dużym powodzeniem orkiestra jednej z dywizji polskich. W śniadaniu wzięli udział członkowie rządu irackiego i korpus dyplomatyczny.

* * *

W początkach listopada odbył się w Domu Żołnierza Polskiego w Bagdadzie szereg pokazów polskich filmów krótkometrażowych, wyprodukowanych w Z S R R. i Anglii.

WIADOMOŚCI Z KRAJU

Nadchodzące z Kraju wiadomości świadczą o tym, że terror niemiecki nie słabnie ani na chwilę.

Sąd specjalny w Katowicach skazał ostatnio na śmierć 54 Polaków pod zarzutem należenia do tajnych organizacji. Wyrok został wykonany.

Teraz dopiero nadchodzą szczegółowe wiadomości o jednym z najbardziej potwornych mordów zbiorowych, z pośród dokonywanych przez Niemców w Polsce od przeszło trzydziestu sześciu miesięcy. Była to zbiorowa publiczna egzekucja 96 mężczyzn i 4 kobiet w dniu 20 marca r. b. w Zgierzu.

Potworny ten „wyczyn oręża niemieckiego” miał być represją za zastrzelenie dwóch gestapowców przez prowadzonego do aresztu Polaka, któremu zresztą udało się zbiec.

Na dzień 20 marca spędzono do Zgierza z okolicznych wsi ok. 8 tys. ludzi, zmuszając ich do asystowania przy egzekucji.

Na placu Piątkowskim uformowane były już szeregi policji niemieckiej, Hitler-Jugend, samoobrony niemieckiej i t. p. Jeden z oficerów policji wystąpił na środek i oświadczył zebrany, iż tytułem represji za zabicie w dniu 7 marca w Zgierzu dwóch Niemców zostanie obecnie rozstrzelanych 100 Polaków, czyli po 50 Polaków za jednego Niemca, co na przyszłość stanowić będzie stałą normę i zasadę. Dobór rozstrzelanych dokonywany będzie w ten sposób, by jaknajboleśniej uderzyć Polaków i realizować nadal konsekwentnie linię przewodnią polityki niemieckiej — niszczyć inteligencję polską, stałe zarzewie buntu, warstwę produkującą naródowi, który nie chce zrozumieć i uznać dobrodziejstw nowego porządku pod zwierzchnictwem wielkich Niemiec i wielkiego ich wodza. Na zakończenie przemówienia zażądał od tłumu wydania w ciągu dwóch minut sprawy zabójstwa gestapowców. Tłum stał w niemym osłupieniu.

Nadjechały ciężarówki, przywożące z więzienia z Łodzi dziesiątki ludzi powiązanych wzajemnie sznurami, jak snopy. Na oczach tłumu zaczęto zrzucać na ziemię te żywe wiązki ludzkie. Padając na bruk, nieszczęśni kaleczyli się ciężko, łamali ręce i nogi.

Przystąpiono do egzekucji. Partiami po 15 rozstrzeliwano skazańców z karabinów ręcznych, konających dobijano z rewolwerów. Na miejsce egzekucji — tuż obok leżących trupów — zawlekano dalsze partie ofiar.

Większość spośród pomordowanych składała się z adwokatów polskich, reszta — to lekarze, dziennikarze, kilku nauczycieli, dwaj księża.

Odpowiedzialność zbiorowa za czynny jednostek jest najczystszy powodem aresztowań i represji w krajach okupowanych przez Niemców. Ponieważ Polska walczy z okupantem najbardziej zdecydowanie i ustawicznie — najwięcej tam wykonywa się egzekucji, najwięcej najlepszych Polaków zapędzono obozy koncentracyjne. Za wykroczenia przeciwko władzom na wsi, w miasteczku czy przed domem wielkiego miasta —

odpowiada cała wieś, cała ulica, wszyscy mieszkańcy domu.

Ponadto pospolitym powodem aresztowania bywa podejrzenie danej osoby o tajną pracę zarówno wolnościową jak i kulturalną, następnie słuchanie zagranicznych audycji radiowych, niedostarczanie na wsi kontyngentów, ubój własnego bydła lub nierogacizny. Takie są powody formalne. W praktyce każdy powód jest dostateczny, bo Niemcom chodzi o zniszczenie Narodu Polskiego, a zwłaszcza inteligencji, jako tego narodu przewodników.

Cała praca Niemców w tym kierunku wywołuje efekt wręcz przeciwny zamierzeniom. Patriotyzm,

silne postanowienie wytrwania i chęć walki z wrogiem stale się wzmacnia.

Niepewnie się czują okupanci w Polsce! Stwierdza to m. in. artykuł w jednym z pism niemieckich w Warszawie. Autor podkreśla, że na terenie Gen. Gubernatorstwa Warszawskiego na 20 milionów ludności — Niemców jest zaledwie 120 tys., czyli, że na 1 Niemca przypada 150 mieszkańców innych narodowości. Wymaga to stworzenia specjalnej służby bezpieczeństwa. Służba taka została istotnie stworzona.

Niemcy odczuwają dotkliwy brak wszelkich surowców. Z wyjątkiem przedsiębiorstw pracujących dla wojska, gdzie nie udaje się również cał-

kowie rozwiązać trudności surowcowych, inne w ogromnej większości nie mogły uruchomić produkcji. Brak węgla przybrał już zeszej zimy rozmiary katastrofalne. Cena wynosiła 1200 zł za tonnę, a elektrycznie tak zmniejszają produkcję, że 80 procent domów pozbawionych było prądu. Sytuację pogarszał brak nafty (cena do 30 zł za litr).

We Lwowie w czasie uroczystości z racji rocznicy „włączenia Galicji do Gen. Gubernatorstwa” gen. Frank dokonał przemianowania placu przed gmachem teatru na „plac Adolfa Hitlera” oraz otwarcia teatru niemieckiego, który prowadzony będzie pod zarządem gminy m. Lwowa.

Warszawa w łzach

Drugi rozpoczął się miesiąc od czasu, gdy uciechły strządy armatnie nad stolicą, gdy od zapalających bomb kilkupiętrowymi pochodniami płonęły domy, a Warszawa wciąż jeszcze wyglądała, jak w czasie oblężenia. Bez światła. Bez wody. Bez opatu. Bez żywności. Rumowiska rozbitych kamienic zwalami gruzów

było w stolicy Polski, nieczym w czasie przebrzmiałych lotniczych alarmów.

Tego jednakże dnia Warszawa przybrała odmienny od codziennego wygląd. Tysiące ludzi wolnym, poważnym krokiem sunęło przez miasto, bądź w skupionej ciszy po brzozi wypchnięto kościoły. Nawet te spalone. Nawet te zrzuconane pociskami, o murach zeszcpeczonych osmą karabinowych kul.

Warszawa Świętowała. Świętowała święto najsmutniejsze. Dzień Zaduszy. Ludzie szli na groby swych najbliższych, bądź powracali z nad mogił. W tym jednakże roku, tragicznym roku 1939 mało kto szedł na odległy cmentarz powązkowski, czy na Bródno Cmentarz bowiem był wówczas każdy plac warszawski. Każdy skwer. Każdy wolny od kamiennych płyt ulicznych skrawek ziemi, mogący pomieścić ciało człowieka, był miejscem czystości wiecznego spoczynku.

Zapadał wieczór. Na miasto począł spływać wczesny, jesienno-zimowy zmierzch. I nagle, w nadchodzącej czerni nocy, Warszawa zaśmiała błękitno złotymi płomykami. Wątlymi, chybliwymi na listopadowym wietrze. Małymi jak świetliki. To paliły się świeczki na grobach.

Na Placu Trzech Krzyży gęsto usypane — mogiła przy mogile. W migotliwym świetle kaganaka widnieje na jednej z nich napis: „Tu pochowano troje dzieci nieznanego nazwiska. Lat około 5”. Tuż obok można przeczytać: „S.P. Wiśniewska Janina lat 11”.

Jakżeż niebezpieczne dla Trzeciej Rzeszy musiały być widocznie owe pięciolatnie dzieci i Wiśniewska Janina lat 11, skoro zabili je żołnierze Hitlera...

Przed spalonym kościołem na Koszykach: wznosi się nad mogiłą wysoki, zbitły z osmalonych w ogniu żerdzi, krzyż. Na nim zawieszony hełm bojowy. Bezmienna mogiła obrońcy Warszawy, któremu napręde sprawiono pogrzeb. Bez trumny, na żołnierskim placzku.

Przed tym Nowym Grobem Nieznanego Żołnierza zatrzymuje się sędziwa staruszka Uboga. W chustce na głowie i ramionach. Wykrzywione, podarte pantofle grzęzną, w rozmokłej ziemi. Staruszka podchodzi do krzyża, wspina się na palce i umaja bojowy hełm wiechem powiedlanych kwiatów. Potem pochyla się, ustawia na grobie łojową świeczkę i drżącymi rękami usiłuje zapalić zapalnik. Zapalnik gasną na wietrze jedna po drugiej, zanim wreszcie załśni cienka łojówka. Mały, żółty płomyczek pełga po złotych, splecionych dłoniach staruszki, szepcząc teraz słowa modlitwy. Kobieta modli się za duszę swego syna, który zginął w obronie Warszawy, a że nie wiadomo gdzie pochowany, więc może właśnie przypadkiem tu...

W pobliżu szpitala Przemienienia Pańskiego, na ulicznym skwerku stoi nad grobem bosy chłopiec. W rękach ścisła wystrzępiona czapka i wpatruje się w krzyż sklecony z rozłupanej deseczki głoszącej niegdyś: „Nie deptać trawników”. Chłopczyk ażi modli się, ani płacze. Trwa w bezruchu przejęty bólem nie do wypowiedzenia, nie do wyplakania. Mały sierota. Okropnie sam.

Na placu Marszałka Piłsudskiego wspólny grób czterech kobiet. Deszcz z przed kilku dni uczynił nawpół nieczytelne nazwiska wypisane anilnowym ołówkiem. I tu czyjaś ręka zapaliła kaganek.

Później Niemcy zrobią z tym „porządek”. Gdy już dostatecznie sfilmują i sfotografują, schwytanym na ulicach ludziom dadzą łopatę, każąc ekskumulować zwłoki i wywozić za miasto.

Leć wówczas, w ów Dzień Zaduszy tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, po raz ostatni od dnia wojny, płonęła ku niebu skąga cała Warszawa. Od Woli do Grochowa. Od Żoliborza po Mokotów.

Romantyczna, bohaterka, tragiczna Warszawa.

Tadeusz Wittlin



Cmentarzem był wówczas każdy plac warszawski...

i żelazta zamykały przejścia ulic. W lejach i wybojach od granatów, wśród szmat i rupieci walały się szkielety koni, odartych z mięsa przez wygłodniałych ludzi. Zasypane szkiełkami i chodniki skrzyły się okrutnymi rozbitymi szybami, czarną pustką zionęły wystawy spalonych i obrabowanych sklepów.

Pod wieczór ulice pustoszały. Głucho jeno turkotały po wyboistym bruku koła samotnej dorożki, a nieliczni przechodnie, w obawie przed godziną policyjną, spieszenie zdążyli do swych domów. Do zimnych, ciemnych o zabitych dyktą oknach mieszkań. Laternie nie oświetlały ulic i nocą ciemno